

ANDRZEJ KWIATEK

Ziutek mnie oszukał

Ziutek mnie oszukał. Od dziecka micwał zwariowane pomysły, a mnie głupiemu wszystko imponowało. Cieszyłem się, że uczestniczyłem w większości jego wygłupów. Opowiadał potem: „Kiedyś poszliśmy z Zenkiem”, albo: „Ja wchodzę pierwszy, Zenek za mną”, albo: „Wyrznięłem tego z prawej, a Zenek tego z lewej”. Podziwiali nas, byliśmy dumni, ale tylko ja wiedziałem, że bez Ziutka nic bym nie działał.

Jeździliśmy na oklep na krowach, nadmuchiwałem żaby przez słomkę, chłostałem wałachy po dyndających członkach, polowaliśmy na wróble nocą, męczyliśmy koty i graliśmy w piłkę. Pragnienie i pustka w żołądkach po strawionej zalewajce, kartoflane i chlebne ze smalcem wzywały często do przerw podczas wielogodzinnych bojów, później sznurowana futbolówka toczyła się dalej: po ogryzkach jabłek zimowych, kawałkach marchewek, resztkach cebuli, pestkach wiśni i zielonych sliwek. Jeśli czasem w jakiejś wrażliwszej duszy pojawiał się protest lub współczucie dla właścicieli pobliskich ogródków i ogrodów, zawsze z takim samym triumfującym, szelmowskim uśmiechem odzywał się Ziutek: - Co się w polu urodzi, ma gospodarz i złodziej. Nie wiedziałeś o tym?”

Najlepszym schronieniem i miejscem zabaw były ruiny starej kamienicy w rynku. Uoszcą się nad kupą gruzu duch starszego brata Ziutka wcale nam nie przeszkadzał. Pamiętaliśmy jednak dobrze, że nie należy używać niewypałów ani jako tłuczków, ani jako moździerz do wyrobu kakao z cegieł. Na chodniku pod szczątkami murów baby w zapaskach kładły wielkie, białe sery jak serca polarnych niedźwiedzi, stawiały śmietanę w słoikach i koszyki po brzegi wypełnione jajkami. Skakaliśmy kiedyś po ceglanych piargach jak górskie kozice, aż tu nagle Ziutkowi przyszło do głowy, żeby zbombardować koszyki z jajkami. Rzucił celną połówką cegły i pierwszy wziął nogi za pas. Wszyscy za nim. Pędziliśmy na oślep do jedynego wyjścia z rumowiska, gdzie już czekał wąsaty chłop z krótkim batem w dłoni. Miał wygnieciony kapelusz i buty z cholewami.

- Krucyfiks! Zabiję! – krzyczał i sapał. Walił batem, jakby zboże młócił, a my, z opuszczonymi uszami, czołgaliśmy się pod mostem jego lnianych portek wpuszczonych w buty. Na bacie były supełki, które wyraźnie czułem, gdy spadały na moje plecy. Pomyślałem wtedy, sam nie wiem dlaczego, co też chłop chciał zapamiętać zawiązując każdy supełek.

Czego my nie robiliśmy z Ziutkiem! Sprzedawaliśmy tatarak na Zielone Świątki, wyciągaliśmy z komina kawki, chodziliśmy po kołędzie, podglądaliśmy w szaletach stękające kobiety, spływałyśmy na krze wiosennej w dół rzeki, chodziliśmy w nocy na cmentarz, wspinaliśmy się na słupy telegraficzne, żeby „zrobić kolumnę Zygmunta”. Wszystko wyczynialiśmy z Ziutkiem, dopóki mnie nie oszukał. W technikum byliśmy razem i w hokeja graliśmy w jednej drużynie. Jeź-

dziśmy na wiejskie zabawy, chodziliśmy na prywatki i do dyskotek. Razem baliśmy się wojska w siedemdziesiątym, chociaż chętnie paradowaliśmy w czapkach kumpli, którzy przyjeżdżali na urlop. Kiedyś Ziutek oznajmił, że jedziemy na Śląsk.

- Na Śląsk? – zdziwiłem się.

- Co się tak głupio patrzysz – powiedział Ziutek. - Na wiosnę capną nas do woja. Już niewiele czasu zostało. Zimą zapowiadają mroźną, a pod ziemią podobno ciepło.

- Do kopalni? – zdziwiłem się jeszcze bardziej.

- A co, na wczasy? Słyszałem, że nie jest tak źle.

Ziutek nie mówił z przekonaniem. Wiedziałem, że boi się Śląska nie mniej niż wojska. W kopalni może coś na głowę spaść, ludzie mówią dziwnym językiem i sami są dziwni, zupełnie jakbyś za granicę jechał. Powiedziałem, że nie jadę i to mnie zgubiło. Jego zawsze musiało być na wierzchu. W dodatku im mniej był pewny swoich racji, tym zacieklej ich bronił, a ja, głupi, ulegałem.

- Zenek, obudź się!

Walnąłem czołem o stolik i otworzyłem oczy. Takie same rzędy kolan obok i naprzeciwko, drażniący gardło zapach parujących butów i ubrań. Stukot kół, który usypiał wlewając się do głowy kojącym strumieniem, zamienił się w rwący i huczący potok świrdrującej uszy aż do bólu. Organizm ludzki nie jest doskonały: kiedy spisz, wszystkie bodźce ulegają wyciszeniu – rozumiało, ale gdy się budzisz, ucho chwytta łączywie wszystkie dźwięki, nawet gdy nie masz ochoty słuchać. Spojrzałem na Ziutka. Próbował się uśmiechać zaspanymi oczyma. Powieki mu opadały, przyklejały się do donych. Z trudem je odciągał do góry przy pomocy mięśni na czole, które wprawiały w ruch całą czuprynę. Pucolowały i rumiany przypominał kołyszacą się matrioszkę, zamykającą i otwierającą oczy.

- Chyba już dojeżdżamy – powiedział.

Świtało. Wjeżdżaliśmy w gęsto rozsiane światła niczym w drogę mleczną po długiej podróży w ciemnościach. Nasze oczy skakały po uciekających lampach, które wyglądały jak rój meteorów. O, gdybym wtedy wiedział...

Stoję teraz przed lustrem jak manekin i przeklinam Ziutka. Spodnie jakby trochę za długie, marynarka też. Pręży się, wypinam pierś, podciągam nogawki, patrzę na nogi tkwiące w nowych butach. Jakieś dziwne nogi, zupełnie obce. Jeśli miałbym się spóźnić, to już lepiej nie iść wcale. Trzeba po drodze kupić kwiaty. Odrywam wate od zakrzepniętej krwi pod wargą, zmywam jej resztki ciepłą wodą. Węglowy pył można zmyć z ciała w miarę dokładnie, ale w dwóch miejscach pozostaje na wicki: w płucach i na powiekach wzdłuż linii rzęs. Możesz chrząkać, spluwać w nieskończoność i zawsze w ślinie będą czarne pasemka. Cieniutka linia czerni tuż przy spojówkach, widoczna i trochę rażąca u blondynów, wcale nie przeszkadza

brunetom. Na początku wstydzilem się tego, później byłem dumny, teraz nie zwracam uwagi. Skrócę jeszcze baki. Może wręczy kwiaty Jance? Nie, nie wypada – stara obraziłaby się. - Jeszcze Janka nie zginęła, kiedy my żyjemy! – ryknąłem w lustro.

Roześmiałem się patrząc na swoją głupią minę i wciąż za długie baki. Upodobałem się do nich – nigdy nie gustowałem w długich bakach. Ziutek nazwałby mnie hanysem, już ja go znam. Od początku ich tak nazywał. Po przyjeździe trzymaliśmy się razem, nie mogliśmy jednak załatwić wspólnego pokoju w hotelu górniczym. Zamieszkałem z Bodziem i Włodziem, Ziutek trafił na Albinosa, który zbierał zdjęcia pornograficzne, i Grubasa, który wiecznie topił słoninę albo podgardle na smalec i skwarki. Grubas oprócz tego pisał wiersze. Recytował je zawsze wieczorem w dniu wypłaty, wymachiwał przy tym pięścią, jakby wygłaszał przemówienie. Stawał na krześle, stole, czasem próbował wdrapać się na ścianę. Wszystkie wiersze były o miłości. Jakaś Lusja była jego żoną. Kochał ją na łące, w lesie przy ruczaju, na zaoranej ziemi i ugorze, latem i zimą, rankiem w promykach wesołego słońca i wieczorem pod zimnym Jowiszem. Prosił ją o zatankowanie benzyny, którą tłoczy pompa jego serca; o nicustającą emanację ciepła i emisję oblicza, aby mógł je nosić na steranym ekranie swojego mózgu. Robił jej wyrzuty, przeklinał, groził; tęsknił pod czarną kopułą podziemnego klasztoru. Recytując wylewał strumienie łez, a my klepaliśmy go po plecach.

- Jesteś geniuszem, Maniuś. Ci wszyscy, gdzieś tam, poeci i inni nie dorastają ci do pięt – mówiliśmy.

Maniuś przecierał wówczas oczy, uśmiechał się pochlipując, podnosił dwa palce w górę i szeptał, że nigdy nas nie opuści.

- Nigdy, nigdy – powtarzał, i po chwili jeszcze raz, coraz głośniejsze, jak pociąg nabierający rozpędu: Nigdy, nigdy! Potem walił się na łóżko niczym złamany baobab.

Albinos miał pięćdziesiąt lat i z zainteresowaniem patrzył każdemu w oczy. Sprawiał wrażenie człowieka, który dostrzeżga i szczerze podziwia w nas to, co daje poczucie własnej niepowtarzalności i siły. Może dlatego lubią go wszyscy i tolerują jego słabostki: kolekcjonowanie tandetnych, wymiętoszonych zdjęć pornograficznych, na których przewalają się leciwe, tłuste



baby pretensjonalne i lubieżne; chodzenie w brudnych skarpetkach ze sztywną podeszwą, lśniąca jak wypozerowany asfalt; zjedanie szybko i łączywie wszelkich mięs znajdujących się na talerzu. Dopiero po przeknięciu mięsa, jak po lampce wina, Albinos przystępował do jedzenia. Zapytałem go kiedyś o powód. Roześmiał się.

- To uraz, nauka, odruch warunkowy. W pięćdziesiątym drugim byłem w wojsku. Sytuacja niepewna. Wiesz, co się dzieje, kiedy jest niepewna sytuacja? Dostajesz zwyczajnie w dupę. Gonili nas do utraty tchu. Ledwie zjadłem zupę, a tu: „Powstań! Baczoństwo! Przed stołówką zbiórka!”. Co cwańszy chwyttał jakiś ochłap do kieszeni, lecz gdy przyłapali lub znaleźli, zębami kazali zakopywać. W woju człowiek musi kombinować, dlatego jadło się najpierw to, co najbardziej kaloryczne, niedojedzonych kartofli czy zupy mniej było żal. Zdziwisz się, gdy ci powiem, że chociaż zdaje sobie sprawę z tego wszystkiego, z przyjemnością zaczynam od kotleta i nie mam zamiaru jadać inaczej. Zastanawiam się tylko, co dobre, a co złe, gdzie jest granica, jeśli lubię to, co siłą mi narzucano? I Albinos palnął nagle, że omal nie spadłem z krzesła:

- Hitler zrobił wiele dobrego.

W głowie mi się zakręciło. Gdyby nie był Albinosem, to znaczy dobrym kumplem, zakleciłbym mu gębę kartoflami, których jeszcze nie zjadł. Zaniemówiłem i patrzę w jego różowe ślepia, a ten z półuśmiechem:

- W czterdziestym trzecim zabrali matkę na roboty, niedługo potem wywieźli dzieciaki. Mnie w jakiejś dziurze w Zamościu ukrywała ciotka, na wszelki wypadek, bo nie była pewna czy rasowo byłem odpowiedni. Ten mały, pamiętam, zawsze wieształ mi się na szyi, a dziewczynka dawała klapsa i chowała się za spódnicę matki, po chwili wyglądała zza niej ostrożnie i

zaczynała piszczeć, gdy próbowałem ją złapać... Już dawno przestałem ich szukać, ale piętnaście lat temu wbiłem sobie w głowę, że są na Śląsku, i kiedy przyjechałem, wydawało mi się, że wszędzie ich widzę albo słyszę. Niemców też widziałem wielu – waliło mi serce. Byłem też w Kolonii i Hamburgu – waliło serce. Z pół tuzina Niemek mogłem mieć, jedna chciała nawet wyjść za mnie – podobam im się, bo swojsko wyglądała, ale nigdy nie zdobyłem się na odwagę. A wiesz, dlaczego? Bałem się kazirodztwa! Nie uwierzysz, ale tak było. Polacy, Niemcy, Rosjanie... teraz nie ma dla mnie różnicy.

Nie wiem czy wypada odpiąć guzik pod krawatem. Musiał nie zwracać uwagi na drobiazgi, dla niego liczy się tylko rzetelność. „Tyś, pierunie, jest rzetelny” – mówi, albo: „Widziolech onego ciula nierzetelnego”.

Janka ma gęste włosy – pewnie po matce. Uszy też ma zupełnie inne. Może nie jest jego córką? Nie, niemożliwe. Zbyt dumny był, gdy ich spotkałem. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie, ludzie, jaki diament znalazłem na grubie! Moja krew, Janka modrooka! Czy ja, Musioł ze Śląska, nie jestem coś wart? Spójrzcie na nią – krew z krwi, kości z kości, kwiat z kwiatów tej ziemi, które nigdy nie były pod ochroną!”

Musnąłem tylko jej usta spojrzeniem i odwróciłem głowę szybko, żeby się nie zdradzić. Udałem, że się spieszę, bo czułem, że nie przejdę z nimi dwóch kroków. Wyszło mi w gardle, nie mogłem przełknąć śliny. Z pożarem w mózgu jechałem do hotelu. Nie zdołało go ugasić morze piwa, które wypięłem tego dnia z Bodziem i Włodziem.

- Nie rzucim Janki, skąd nasz ród!

- wrzasnąłem znowu przed lustrem.

cdn.

